

Aktor prawdziwy – nawet na planie. Rozmowa z Krzysztofem Zanussi

Był to człowiek z wyrosły nie z rodziny aktorskiej, a wśród ludzi pracy. Pewnie niełatwo mu było pokonać to, co pokonał wspaniale, nie zmieniając siebie, nie przystosowując się do obyczajów środowiska aktorskiego, przeciwnie – zostając sobą – mówi Krzysztof Zanussi w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Franciszek Pieczka. Legenda polskiego kina”.

Hanna Nowak (Teologia Polityczna): Jak wspomina pan Franciszka Pieczkę?

Krzysztof Zanussi: Przede wszystkim wspominam go jako artystę. Jako artystę spotkałem go bardzo wcześnie, zarówno jeśli chodzi o moją karierę, jak i jego. Widziałem go po raz pierwszy w przedstawieniu Teatru Ludowego *Myszy i ludzie*. Objawił się tam jako prawdziwa rewelacja, nie było drugiego aktora o podobnych warunkach, o podobnych dyspozycjach. I ta rola u Steinbecka okazała się czymś niezapomnianym. To było moje takie najdawniejsze z nim spotkanie związane z wielkim podziwem.

Czy później jeszcze miał Pan okazję się z nim zetknąć?

Potem oczywiście spotykałem go na filmach choćby w *Saragossie*, gdzie miał niezwykle oryginalny i osobliwy epizod. Wydawał się aktorem bardzo charakterystycznym. Ale potem, gdy zagrał w *Żywocie Mateusza*, to okazało się, że wspaniale grał rolę pierwszoplanową człowieka, z którym my – widzowie łączymy całą sympatię. Udało mu się również wtedy pokonać ten swój pierwszy stereotyp, którym z początku się określił. Następnie zaczyna się już ogromnie długa linia różnych ról, które zagrał i żał mi bardzo, że tylko raz pracowaliśmy razem. To był film *Życie za życie. Maksymilian Kolbe*, który wyświetlany zresztą będzie w tym tygodniu na kanale Kultura. Tam zależało mi, jak i późniejszemu zdobywcy dwóch Oscarów, Christophowi Waltzowi, aby niektóre sceny kręcić po niemiecku. Szukałem kogoś, kto będzie posługiwał się mocnym, śląskim dialektem. Do tego Pieczka nadawał się oczywiście idealnie.

Podczas zdjęć zaskakiwał Austriaka – Christopha Waltza – swoją śląskością. Potem oczywiście przychodziliśmy wszyscy na Hochdeutsch, o którym on mówił, że to jest właściwie dla wszystkich taki język sztuczny, język Lutra, język odświętny, ale nie codzienny. Podobnie mówił kiedyś biskup Nossol, który również wymieniał cztery języki dla siebie ojczyste: polski-śląski, niemiecki-śląski, a następnie polski literacki i niemiecki Hochdeutsch.

Z osobistej wdzięczności do pana Franciszka powinienem odnotować, że zechciał wziąć udział w moim osiemdziesięcioleciu. Przyjechał do Krakowa specjalnie na tę okazję. Zrobił mi tym ogromną przyjemność i wielki honor. Poza tym, naprawdę szczerze go lubiłem, mimo żeśmy się tak mało znali. Mam wrażenie, że był na tle świata aktorskiego jakimś niezwykle fenomenem, kimś w rodzaju niepodważalnego

„prawdziwka”. Był po prostu prawdziwy we wszystkim w życiu – w tym co robił i w, tym co grał. To zupełne przeciwieństwo komedianctwa. On nie był aktorem transformacyjnym, nie musiał ewoluować – tak bardzo rozmaity był w niuansach, które grał. Jego charakterystyczna sylwetka, emisja głosu, były jakby stale do niego przypisane i zawsze tworzyły postacie, które się wyróżniały, które były inne.

Legendarna już stała się jego skromność, a nawet nieśmiałość.

Był to człowiek z wyrosły nie z rodziny aktorskiej, a wśród tzw. ludzi pracy. Pewnie niełatwo mu było pokonać to, co pokonał wspaniale, nie zmieniając siebie, nie przystosowując się do obyczajów środowiska aktorskiego, przeciwnie – zostając sobą.

Foto: Roman Kotowicz / Forum

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego